

Wojciech CHUDY

## ZWYCIĘSTWO? – W PIĘCDZIESIĄT LAT PÓŹNIEJ

Pół wieku to sporo czasu. Nawet w wymiarze historycznym pięćdziesiąt lat to okres, w którym można sobie pozwolić na spokojny namysł co do minionych wydarzeń i racjonalną ocenę – taką, która pozbawiona emocji jednak nie traci pamięci.

Obchodziliśmy w tym roku wraz z całym światem taką właśnie rocznicę. Dzień Zwycięstwa – 8 maja 1945 roku. Choć minęło już sporo czasu od dnia 8 maja i ostygły emocje, to warto wrócić do tej sprawy, na przykład po to, by skonstatować nieprzemijalność pewnych postaw politycznych.

Czciliśmy w tym roku ten dzień z całym światem – lecz jakby osobno. Razem – a jakby z boku. W zgiełku dość żenujących sporów wewnętrzzopolitycznych dotyczących wyjazdu premiera na obchody w Moskwie znikła sprawa dla nas najważniejsza w aspekcie tej rocznicy.

Lech Wałęsa, prezydent RP, nie został zaproszony – a ściślej mówiąc odmówiono mu zaproszenia – na obchody w Berlinie, mieście, w którym (z pewnym przybliżeniem mówiąc) pięćdziesiąt lat temu zakończyła się druga wojna światowa w Europie.

Niemcy uroczyście świętując lekcję klęski – która zresztą wróciła ich, jak synów marnotrawnych, demokracji, cywilizacji i europejskiej kulturze – zadecydowali, że głównymi aktorami obchodów będą tylko mocarstwa, które wówczas, przed pół wiekiem, podpisały akt kapitulacji. Wtedy, w 1945, polskich oddziałów nie było również na defiladzie zwycięzców w Londynie. Jak głośno wypomnił to nasz minister spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski, przemawiając w końcu kwietnia bieżącego roku w Bundestagu, wtedy mocarstwa postąpiły po myśli Stalina, który niechętnie widziałby Polskę tak wyróżnioną. Było już po Jalcie i Stalin szykował Polakom inne defilady.

A teraz? Dlaczego teraz powiedziano „Nie” prezydentowi Polski – kraju, który jako pierwszy został zaatakowany i stawiał opór w tej wojnie? Po czyjej myśli obecnie działano? Komu Polska przeszkadzała? Kto tym razem został usatysfakcjonowany?

Decyzja kanclerza Kohla – nie wątpię, że podjęta w porozumieniu z sojusznikami, aby mimo wszystko nie zapraszać Lecha Wałęsy – ma jakiś dziwny posmak. Polska od kilku lat stara się o wejście do struktur zachodnioeuropejskich zarówno gospodarczych, jak i obronnych. Szczególnie konsekwentnym rzecznikiem tych starań jest Lech Wałęsa. Dziś, kiedy coraz to Jelcyn, to Kozyriew, to znów Graczow wydają groźne pomruki na temat ewentualnego przyjęcia Polski do NATO, zaproszenie jej prezydenta na prestiżowe obchody w Berlinie byłoby czymś w rodzaju obiecującej deklaracji. Byłoby to coś w rodzaju: „Witajcie w klubie!” lub przynajmniej: „Witajcie, choć na razie na chwilę w klubie” czy „Witajcie w przedpokoju”. A przecież dotychczasowa polityka „członków klubu” wobec Polski polegała na wzajemnym znoszeniu się sygnałów. Co obieca Kinkel, to odwoła Christopher. Słowa poparcia usłyszane w Danii natychmiast ulegają



zmrożeniu przez oświadczenie ministra spraw zagranicznych w Paryżu. I chodzi o to, żeby tak trzymać. Dać posmakować marchewkę i nie rozzłościć niedźwiedzia.

W rezultacie Dzień Zwycięstwa świętowali w Schauspielhaus w Berlinie wraz z Kohlem i prezydentem Herzogiem Al Gore – wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, Major – premier Wielkiej Brytanii, Mitterand – prezydent Francji i premier Rosji Czernomyrdin.

Cała sprawa ma posmak starej historii, tej z 1945 roku, kiedy to w ściśle dobranym gronie stanowiono „wszystko o nas bez nas” i kiedy publicznie wypowiedano wiele okrągłych i pełnych obłudy zdań. Nic nie zostało odwołane. Historii nie przywrócono w dawne koleiny, te sprzed Września, Teheranu i Jałty. Ciągłość tej tradycji politycznej – bodaj najhaniebniejszej w naszym wieku – została zachowana. Zacytowano słowa Stalina: „Polsza? Niet, niet, Polska niet”.

Poza tym decyzja ta miała również swój kontekst – by tak rzec – „e t y c z n y”. Wieczorem 8 maja bieżącego roku na placu Piłsudskiego w Warszawie przemawiał prezydent RP. Mówił, że dzień dzisiejszy najwłaściwiej biorąc „jest dniem refleksji i zadumy nad wyrokami historii, nad prawami rządzącymi polityką i nad przyszłością”.

Łączył tę datę z innymi datami i faktami: „1 i 17 września 1939 roku, 1 sierpnia 1944 roku, Oświęcim, Katyń, Teheran i Jałta przypominają cierpienia całego narodu. Jest w nich krew, ból i poniżenie, jest podeptanie praw międzynarodowych, obłuda i cynizm wielkich tego świata. Tego wszystkiego nie przekreślił koniec wojny. Dlatego dla nas, Polaków, dzień 8 maja na zawsze pozostanie datą kontrowersyjną. Dzień, w którym skapitulował hitlerowski faszyzm, nie był dla nas pierwszym dniem wolności. Jedna połowa Europy świętowała zwycięstwo i oswobodzenie, a nad drugą rozciągał się już cień totalitarnego imperium. Nasz naród przetrwał wojenną nawałnicę, ale nie dane mu było wyjść z mroku”.

Prezydent stawiał pytania – pytania etyczne – o ten świat, w którym „wielkie interesy polityczne, gra o podział wpływów na mapie świata kazały zataić niewygodną prawdę” o Polakach i innych narodach uciemiężonych.

W konkluzji mowy Wałęsy *n a d z i e j a i g o r y c z* rozkładały się w dwóch wyraźnie nierównych częściach: „Mimo bowiem zwycięstw wolności i demokracji na naszym kontynencie, mimo że upadł mur berliński, Europa ciągle jest daleka od jedności. Widzimy nadal podziały na lepszych i gorszych. Widzimy opieszałość struktur europejskich w poszerzaniu strefy współdziałania, dostatku i bezpieczeństwa. Nasuwają się nam niedobre skojarzenia z przeszłości”.

Kanclerz Kohl i jego wysocy goście domyślali się, mogli być prawie pewni, że podobne słowa padną w sali berlińskiej Schauspielhaus, gdy w dniu 8 maja przemówi w niej prezydent polski Lech Wałęsa. Komu były potrzebne takie słowa i taka atmosfera? A tak, jak doniosły gazety, podczas uroczystości w Berlinie „mówiono przede wszystkim o przyszłości Europy”.

Dzień Zwycięstwa – 8 maja 1945 roku. Pięćdziesiąta rocznica – 8 maja 1995 roku. Jak ten czas leci. Minęło już sporo czasu od dnia uroczystości, ostygły emocje. Jednak warto wracać do tych spraw. My mamy powody, aby mieć stale w pamięci nasze zwycięstwa i klęski. Dzień 8 maja obchodzimy dziwnie podobnie do 1 Września.